ROK VI. CHICAGO, dnia 11go PAŹDZIERNIKA, 1888. **No. 41**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1.50. Przedpłata musi być naprzód opłacona. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: W. Smulski, 635 Noble st. Chicago.

Entered at the post office of Chicago, Ill. as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty“ i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

CHICAGO, dn. 3go Stycznie R. P. 1883. † P. A. FEEHAN, Arcybiskup Chicagoski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 11 października	Filonelli i Placydy m.	Dobromiła.
Piątek, 12 października	Maksymiliana m.	Grzmisław.
Sobota, 13 października	Edwarda Kolom., Anioła.	Ziemisław.
Niedziela, 14 października	21-ta po Św. Kaliksta pap.	Dzierzysław.
Poniedziałek, 15 październ.	Jadwigi i Teresy.	Długosław.
Wtorek, 16 października	Gawła opata wyz.	Radzisław.
Sroda, 17 października	Florentyna b.	Zytysław.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ XXI-tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Mateusza w rozdz. XVIII. od w. 23 do końca.

Onego czasu powiedział Jezus uczniom Swoim to podobieństwo: Podobne jest królestwo niebieskie człowiekowi królowi, który chciał kłaść liczbę z sługami swoimi. A gdy począł liczbę kłaść, przywiedziono mu jednego, który mu był winien dziesięć tysięcy talentów. A gdy nie miał zkąd oddać, kazał go Pan jego zaprzedać, i żonę jego, i dzieci, i wszystko co miał, i oddać. A upadłszy sługa on, prosił go, mówiąc: Miej cierpliwość nademną, a wszystko ci oddam. A Pan, zlitowawszy się nad onym sługą, wypuścił go, i dług mu odpuścił. Lecz sługa on, wyszedłszy znalazł jednego z towarzyszów swoich, który mu był winien sto groszy i ująwszy, dusił go, mówiąc: Oddaj coś winien. A upadłszy towarzysz jego, prosił go, mówiąc: Miej cierpliwość nademną, a oddam ci wszytko. Lecz on nie chciał, ale szedł, i wsadził go do więzienia, ażby oddał dług. A ujrzawszy towarzysze jego, co się działo, zasmucili się bardzo, i przyszli i powiedzieli Panu swemu wszystko, co się było stało. Tedy zawołał go Pan jego i rzekł mu: Sługo niecnotliwy! wszystek dług odpuściłem ci, iżeś mnie prosił, izali i ty nie miałeś się zmiłować nad towarzyszem twoim, jakom się i ja zmiłował nad tobą? I rozgniewawszy się Pan jego, podał go katom, ażby mu oddał wszystek dług. Takci i Ojciec mój niebieski uczyni wam, jeżeli nie odpuścicie bratu swemu z serc waszych.

POKOJ TORUŃSKI.

Napisał Piotr Zbrożek.

Dokończenie.

Ze świtem wrzawa w mieście się obudziła i rzucono się na domy wczoraj nie wzięte. W kamienicy Kopernika brama żelazna silnie zamknięta broni wejścia. Nie ma w domu ojca, ale przecie dwóch sklepowych chłopców podrostków i trzy służące stoją w sieni, aby powstrzymywać napad. Inni pomocnicy sklepowi połączyli się z tłumem ulicznym.

Chociaż silna brama, przecie nie długo wytrzymała napad. Czemś z zewnątrz podważana, zapewne drągami żelaznemi, zaczęła trzeszczeć i puszczać z zawiasów. Wtenczas Kopernikówny ze służbą, ustawiły inny rodzaj zapory. Znosiły stoły, krzesła, ławki i tem zapełniały sień aż pod sufit. Drzwi istotnie runęły z trzaskiem na to zatarasowanie. Pomiędzy tłumem a biedną garstką kobiet już tylko słaba zapora. Po wyłamaniu drzwi panny uciekły przerażone na pierwsze piętro i tam się zamknęły. Tymczasem na ulicę wywleczono bramę i wyrzucano meble, aby sobie drogę utworzyć do środka kamienicy.

Już wrzask się rozlega po obszernych sieniach, po schodach cisną się zgraje; cały dom zdaje się na piekle zbudowany, tak w nim huczy, tak dudni. Już siekiery uderzyły w drzwi piątrowe. Drzwi pękły i napastnicy mogli wejść do pokoju. — Naraz jakby siłą niewidomą odepchnięci uciekają, pomnażając zamięszanie niewyraźne na dole w obszernej sieni.

Zamiast rabującego tłumu wszedł do pokoju Stanisław, przyjaciel Henryka i stary Kopernik. Anusia klęczała nieprzytomna. Marynia zemdlona leżała na podłodze. Przez chwilę nie mogły jeszcze oprzytomnieć biedne, wystraszone, ale je ojciec odcałował stary i przyszły do siebie widząc Stanisława rozradowanego i szczęśliwego. Krótko opowiedział ojciec, jakim sposobem znowu do Torunia powrócił:

— O zamieszkach w Toruniu wiedziało wojsko polskie,

lecz natychmiast zdaleka nie mogło zdążyć na pomoc. Dziś dopiero weszli do miasta i rozbili tłumy jakimś dziwnym obłędem rzucające się na własnych braci. Ja biegłem do was dzieci moje ze Stanisławem, przeczuwając, że wam zagraża niebezpieczeństwo. Tak kończył Kopernik.

A Stanisław rzekł: — Trzeba kończyć co się zaczęło, póki wszystko nie ucichnie w mieście, nam żołnierzom trzeba być na placu boju.

Wybiegł z pokoju. W mieście jeszcze nie wrócił po rządek, jeszcze słychać było strzały po ulicach i wrzaski. Dopiero ku wieczorowi ucichło. Stanisław tego dnia nie pokazał się, przysłał tylko pachołka z uwiadomieniem, że przyjdzie nazajutrz. Dnia następnego taksamo tylko przez posłańca o nim dowiedziano się u Kopernika. Przyczyny nie potrzebował nawet tłómaczyć. Wszyscy już wiedzieli, że po uspokojeniu rozruchu, mnóstwo burzycieli uwięziono. Stanisław zasiadał w sądzie wojennym. Sąd skazał na śmierć sześćdziesięciu pięciu ludzi, których ścięto na rynku. Pomiędzy nimi byli wszyscy krzyżacy poprzebierani, pierwsi burzyciele pokoju.

Dopiero trzeciego dnia nadszedł z oddziałem gdańskim brat Anusi, z nim razem udał się Stanisław do jego rodziny.

— Mój Henryku, mówił po drodze Stanisław, bądź moim pośrednikiem. Wojna się przewleka bez końca. Nie żałuję mojej krwi, ale muszę do domu popatrzeć, co tam słychać, jak moje gospodarstwo bezemnie idzie.

— Jakto opuszczasz sztandar?

— Nie, nasz cały oddział wraca w krakowskie. Gdybym tu został, musiałbym się z innym połączyć.

— Zostańże z nami.

— Postanowiłem trzymać się jednej chorągwi, z nią wyszedłem, teraz z nią idę w rodzinne strony, a gdy tu wrócimy do boju, to znowu razem. — Nim opuszczę Toruń, chciałbym być już żonatym. Wiesz, jak kocham Anusię, bądź moim swatem.

— Stanisławie kochany, tu swatów niepotrzeba, powiedz ojcu i rzecz skończona.

— Zawsze wolę, abyś ty za mnie mówił.

— Jeżeli chcesz koniecznie....

Domawiając tych słów zbliżył się do kamienicy Kopernika.

Kopernik przyjął Stanisława i syna z otwartemi rękami, a kiedy Henryk prosił dla przyjaciela o rękę Anusi, stary obu młodzieńców uściskał, a wziąwszy za rękę córkę przyprowadził ją do narzeczonego. O wesele się prędko umówiono. W kilka tygodni wyjechał Stanisław z młodą żoną w krakowskie.

* *
*

Trzeciego roku od rozpoczęcia wojny w same zielone świątki, drugiego dnia otwarły się bramy Malborga dla polskiego wojska. Malborg stolica krzyżackiege zakonu. Tam do ostatka bronił się mistrz wielki krzyżacki, Ludwik Erlichshauzen,lecz szczęście go opuściło, Bóg strącił go z majestatu. Gdy polskie wojsko, w którem połowę stanowili mieszczanie gdańscy, wchodziło do miasta, wychodził mistrz z resztkami swoich żcłnierzy. Niemcy smutni. Jeden mistrz jedzie dumnie na koniu.

— Nie cieszcie się Polacy, woła, ja tu powrócę, a zemną tysiące zbrojnych z całych Niemiec. Odbierzemy wam Prusy i zalejemy Polskę. Garnków wam nie stanie dla zgotowania żywności dla naszych.

Ten krzyk i groźby zwracają uwagę polskich żołnierzy.

— Obciąć temu niemcowi brodę, aby nie był taki straszny, woła jeden.

— Dajmy pokój, on pobity, to jakby był bezbronnym.

— Popatrzmy, jakie skarby za nim na wozie prowadzą?

Na ostatnie słowa, wymówione przez któregoś z naszych, skoczyło kilkunastu do wozów i nim starszyzna porządek mogła przywrócić, już wóz przetrząśnięto.

Z podziwieniem wszystkich na wozie podnosili zapakowany posąg. Musi być ciężki tak go dźwigają. Dwóch mało, pomaga trzeci, czwarty, piąty. Podważyli drągami.

Wstała jasna błyszcząca, szczero srebrna Matka Boska. Niemcy krzycząc od wozu odpychali, lecz nic nie pomogło, kto dostał zamek malborski, ten także posąg srebrny Matki Boskiej zatrzyma. Polacy wóz zawrócili do miasta.

O tym całym wypadku szybko cała Polska się dowiedziała. Kościoły napełniały się ludem i dziękowano Bogu za wzięcie twierdzy Malborga.

Stanisław z żoną byli na nabożeństwie w Krakowie. Pani Stanisławowa cieszyła się „chwała Bogu, że Malborg wzięty, to wkrótce mieć będziemy koniec wojny i pokój, a w jesieni po żniwach pojedziemy do ojca, do Torunia."

* * *

Któż nie pragnie pokoju? W pokoju bezpieczny człowiek pracuje i pomnaża dobytek, cieszy się rodziną. Młodzieńca nie wyrwą z domu, nie zrobią z niego żołnierza, nie zmarnują mu czasu, ni siły. W pokoju nie napadną domu, nie zrabują, nie podpalą. A jeżeli przyjdzie nieszczęście, to na jednego człowieka, nie na wszystkich, nie na kraj cały.

Wojna niszczyła Prusy już od lat dwunastu i tak kraj zubożyła, że się uprzykrzyła nawet samym Prusom. Właśnie król przyjechał na święta wielkanocne do Brześcia Kujawskiego, aby być bliżej stron wojennych. Byli tam z królem biskup Jan Gruszczyński, biskup Jakób Sieniński i inni panowie radząc nad ukończeniem wojny. Przybył także namiestnik pruski, młodszy Bajzen, starszy Jan Bajzen był już umarł. Gdy król przyjmował Bajzena i zapytał o usposobienie ludności, rzekł śmiało namiestnik:

— Jaka była nasza radość z przyłączenia się do Polski, mógł wasza królewska mość poznać, kiedyś przyjechał do Torunia przed laty dwunastoma. Teraz jest inaczej. Naród się zniechęca, widząc, że tyle ofiar poniósł, tyle krwi przelał, a jeszcze nie ma końca wojny.

— Naszaż w tem wina? odpowiedział król łagodnie.

— Jako zastępca narodu muszę śmiało powiedzieć, co nas boli. I powiem to królowi i panom polskim. Panowie żałujecie pieniędzy, na wojnę wielką. Taka rachuba najgorsza. Gdybyście byli odrazu więcej podatków złożyli i wię-

ksze wojsko wysłali, bylibyśmy już dawno z niemcami skończyli.

— Przecie odrazu pod Chojnicami było dużo wojska, tłómaczył arcybiskup ks. Gruszczyński.

— Tak pod Chojnicami, ale później przez lata następne.

— Wam goręcej, bo was z bliska pieką niemcy, ale przyznajcie namiestniku, znowu odezwał się ks. arcybiskup, że choć my dalsi robiliśmy, co mogli i teraz król przyjechał do Brześcia, aby tu zebrać wojsko i ztąd ruszyć przeciw wrogom.

— Niech się na mnie wasza królewska mość nie gniewa, lecz muszę powiedzieć, jeszcze odezwał się Bajzen, że pod Chojnicami ponieśli Polacy klęskę, ponieważ król nie oddał wojska dobremu dowódzcy, a późniejsze wyprawy mogły być inaczej pokierowane.

A, jeżeli ja winien, odpowiedział król, toć widzicie wszyscy panowie, chcę uczynić jak najlepiej. Oczekuję tu na wojsko i zbieram. Wcześniej w tym roku trudno mi było wyruszyć. W Prusach głód, trzeba było zwieść dla wojska dostatek żywności. To wszystko dużo czasu kosztuje i zachodów. Ale bądźcie przekonani, że niczego bardziej nie pragnę, jak szczęścia moich pruskich poddanych i prędkiego ukończenia wojny.

Tak uspakajał król Bajzena i Prusów, a jeszcze lepiej ich przekonał wojskiem ze wszystkich stron napływającem. Niemcy też byli wojną znużeni, środki ich były już wyczerpane, starali się więc wszelkiemi siłami a zawarcie pokoju.

W lecie 23 Lipca król z licznem wojskiem wyruszył z Brześcia kujawskiego. Najpierw zwróciło się wojsko ku Chojnicom. Dowództwo oddał król Piotrowi Duninowi. Tym razem szczęśliwsi byli Polacy i po siedmiu tygodniach walki zajęli Chojnice.

Pod tem miastem wojsko polskie przed dwunastu laty rozpoczęło wojnę z krzyżakami i pod nim ukończyło. Teraz już nie o zawarcie ugody prosili Krzyżacy, ale o łaskę, aby ich polacy do nogi nie wybijali. Przysłał też papież swego posła Rudolfa i pokój zawarto w Toruniu.

Dziewiętnastego października w Toruniu wszystko od świtu było na nogach, jak przed wielkiem zdarzeniem. Wielkie też miało nastąpić zajście. W mieście był król, poseł papieski, mistrz krzyżacki i wiele panów tak polskich, jak niemieckich. Układali się, radzili. Za niemcami prosił poseł papieski, aby ich zanadto nie upokarzać.

O warunkach pokojowych mówią po mieście. Ile głów, tyle myśli, tyle sądów. Trudno wysłuchać wszystkich, ale zbliżmy się do znajomych. Właśnie idzie ulicą cała rodzina Koperników. Siwy ojciec, Henryk, obie córki i ich dwóch mężów.

— Źle król zrobił, że odstąpił kawału naszej ziemi krzyżakom, rzekł Henryk. Kiedy są pobici a brakuje im wojska i pieniędzy, trzeba było wyrzucić ich ztąd całkiem. My najlepiej to czujemy, bośmy ich dobrze poznali.

— Król byłby się skłonił, puścić ich z niczem, odezwał się Stanisław, ale poseł papieski namawiał, aby im nie odbierać wszystkiego. Może nawet słusznie przedstawiał, że na upokorzenie krzyżaków cały świat przystanie, ale gdyby ich całkiem wyrzucono z Polski, mogliby niemcy się upomnieć i znowu by wojna się przedłużyła.

— Tak Stanisławie, odpowiedział Henryk, wiem co mówił poseł papieski, ale dziś niemcy nicby nam złego zrobić nie mogli. Jeżeliby była u nich siła, nie daliby byli upaść krzyżakom. Król miękki, ksiądz przysłany z Rzymu grzeczny i wymowny umiał przekonać króla i panów polskich, że krzyżakom nie można całego kraju odbierać i na tem stanęło. Pozostawili im wschodnią część pruskiego kraju.

— Znowu, tłómaczył Stanisław, pokoju tego złym nazwać nie można. Większa część ziemi z pod krzyżaków wraca do Polaków. A krzyżacy zawsze będą poddanymi królewskimi. Każdy mistrz musi po oborze przysięgać na wierność królowi. Cały zakon niemiecki będzie pod rozkazami królewskimi, polskich przyjaciół uważać ma za przyjaciół, a nasz nieprzyjaciel, będzie jego nieprzyjacielem.

— Ja inaczej te rzeczy uważam, rzucił się gniewnie Henryk.

— Dajcie pokój sprzeczce, łagodził ich stary Kopernik, nie ma się czego spierać, rzecz skończona, a ja wam mówię, dzień taki, jak dzisiejszy, rzadko się zdarza na świecie. Dziś złe ukarane, a prawda jasno występuje, jak słońce. Dziś dopiero naprawdę łączymy się znowu my Prusowie z całą Polską i od dziś z tego braterstwa w pokoju płynąć na nas będą owoce. Dzisiejszy dzień będą Polacy po wiek wieków pamiętać i nas wspomną wnukowie, jako szczęśliwych, żeśmy w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym szóstym byli świadkami pokoju toruńskiego, na który zasłużyliśmy pracą i krwią własną.

— Henryk już tylko półgłosem szeptał do Stanisława. Byłaby większa chluba i większe szczęście, gdybyśmy niemcom całe Prusy byli odebrali. Niemiec się upokorzy, będzie nazywać się sługą królewskim, ale gdy mu się sposobność nadarzy, podniesie głowę i ukąsi rękę, która mu chleb podawała.

Kiedy tych słów domawiał, przesuwająe się przez tłumy, cała rodzina zbliżyła się do kościoła Panny Maryi.

Idźcież dzieci do kościoła, rzekł ojciec, ja jeszcze pójdę na giełdę, aby być przy zaprzysiężeniu warunków pokoju. Potem za królem przyjdziemy, tu wszyscy Bogu Najwyższemu podziękować za szczęśliwie ukończone dzieło.

Po tych słowach pospieszył na giełdę. Tam w dużej sali król, mistrz krzyżacki, poseł papieski, mnóstwo panów z Prus i różnych stron Polski.

Warunki pokoju spisane były w łacińskim języku. Po zebraniu się wszystkich, król z tronu wyniesionego dał znak, i cisza zaległa salę. Wtenczas poseł papieski powstał z miejsca i czytał warunki pokoju w tłómaczeniu niemieckiem. Po tem sekretarz królewski Wincenty Kiełbasa, opowiedział wszystko dosłownie po polsku. Zaledwie skończył, rzucił się mistrz wielki krzyżacki przed królem na kolana, bo sam czuł dobrze, że nic nie powinien był dostać, a zostawiono mu wielką część pruskiego kraju na własność. Król go podniósł, a potem oba klęknęli, król i mistrz i przed posłem rzymskim przysięgali na dotrzymanie wszystkich spisanych

warunków. Gdy oni skończyli, zaprzysięgali ten pokój panowie pruscy i polscy, posłowie miast i krzyżacy.

— Chodźmyż teraz podziękować Bogu za jego łaskę, za ukończenie wojny i za zgodę, aby trwała w najdłuższe lata. Tak zaprosił król na nabożeństwo i wyszedł, a za nim wszyscy i szli do kościoła Panny Maryi. Tłumy nieprzeliczone narodu stały po ulicach, a gdzie się król zwróci rozstępują się i robią swobodne przejście. Za królem wybrani narodu. Weszli do kościoła. Poseł papieski nabożeństwo odprawiał. Król siedział na tronie. Rodzina Kopernika dobrze go widziała, ale świątynia za mała była, aby objąć wszystkich przybyłych do Torunia na uroczystość zawarcia pokoju. Przecie skupiali się i cisnęli do murów kościoła, a podczas mszy stali na dworze z odkrytemi głowami i modlitwą łączyli się z księdzem.

Po mszy widzieli jeszcze raz króla i panów, kiedy na ratusz szli na ucztę. Nie pamiętał Toruń takich godów. Król po królewsku przyjmował.

* * *

Na zakończenie opowiadania wypada mi jeszcze kilka słów dodać. Pokój Toruński dowodzi najjaśniej, jakiemi drogami narody idą do prawdy. Praca i wytrwałość Prusów złamała potęgę krzyżaków, tak każdego wielkiego dzieła tylko przez trud i przez zjednoczenie dokonać można. Poddawać się nigdy nie należy, ale przemyśliwać i postępować, choćby tylko krok za krokiem, a usilnie i wytrwale; tym sposobem prawda musi wypłynąć, musi zwyciężyć.

CÓRKA SYBIRSKIEGO WYGNAŃCA.

Powieść z niedalekiej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Kiedy Wschodnik list ten czytał, głos jego stał się donośnym i wzruszonym; widział bowiem z ojcowską dumą cnotę córki i szacunek, jaki jej dlatego okazywano. Czuła zaś

matka nie upatrywała w tem niczego oprócz jej oddalenia, rozstania się. Blada, wzruszona patrzała na córkę i ze strachu zbytniego łzy nie znalazła. Marta rzuciła się do nóg rodzicom i rzekła błagalnie: „Ach, drodzy rodzice, jeśli mi odejmiecie nadzieję przywrócenia wam szczęścia, wolności, ojczyzny, odejmiecie mi wszystko, co tak długo w duszy żywiłam i jako cel wszystkich usiłowań uważałam. Pozwólcie mi pójść w świat. Bóg sam będzie moją obroną, posyła mi On w tym celu pobożnych misyonarzy."

„Sama jedna, pieszo — bez pomocy!" zawołała matka — „nie, nie mogę na to zezwolić, to niemożebne — niebezpieczeństwa takiej podróży są okropne." „Kochana mamo!" odrzekła Marta — „twoje rozkazy są dla mnie zawsze świętemi; jeśli zażądasz, abym tutaj została, sądzę, że znajdę w sobie siłę do posłuchania: zostaw mi jednak nadzieję, że otrzymam twoje zezwolenie.

Nie jest to pomysł chwilowy, ale plan, nad którym się miesiące zastanowiałam. Czyż jest jaki inny środek do oswobodzenia ojca z wygnania? Od lat 12. tutaj usycha: któryż przyjaciel podjął się jego obrony; a gdyby się ktoś znalazł, któryby się tej sprawy podjął, czyliżby się odważył tak przemówić jak ja, czyliżby mu słowa podyktowała taka sama miłość jak moja? I cóż tak strasznego upatrujecie w mem przedsięwzięciu —czy jest niem moja nieobecność? A wszak że sami mówiliście, iżbyście mię dali cnotliwemu mężowi — a czyżby mię on od was do siebie nie zabrał? Czy niem są niebezpieczeństwa — nie masz ich dla mnie: jam przywykła do ostrości klimatu i do trudów długotrwałej pieszej podróży. Czyż się obawiacie z powodu mej młodości i braku doświadczenia? Wspomnijcie sobie o słowach w liście gubernatora. Jeśli on pozwala, spocząć pod naszą strzechą biednemu misyonarzowi, to czyni on to dlatego, aby on był moim przewodnikiem i obrońcą. Widzicie, że wszystko jest naprzód obmyślonem — nie ma żadnego niebezpieczeństwa, żadnej przeszkody: niczego nie brakuje oprócz waszego zezwolenia i błogosławieństwa!"

„O chleb swój — będziesz-że oń żebrała?" rzekł Wscho-

dnik z goryczą — „przodkowie twej matki, którzy niegdyś w tych okolicach panowali i moi przodkowie, którzy na polskim tronie zasiadali, będą musieli patrzeć, jak spadkobierczyni ich imienia będzie jako żebraczka tułała się po tej Rosyi, która z ich królestw prowincye utworzyła!"

„Jeśli z takiego pochodzę rodu," — odrzekła Marta ze skromnem zadziwieniem — „jeśli pochodzę od królów, sądzę, że się was i ich godną ukażę i nie poniżę imienia, jakie mi w spuściźnie zostawili. Atoli dlaczegóż miałaby dziewica, pochodząca z królewskiego rodu rumienić się z powodu wezwania litości równych sobie, gdy to już wielu wielkich uczyniło mężów, których los z ich wyżyny strącił —ja przecie to tylko dlatego czynię, aby usłużyć ojcu."

Wschodnik już się skłaniał do życzenia córki; atoli Feodora drżała na samę myśl, iż jej córka może zginąć gdzie na puszczy z głodu, zimna i nędzy. Tym razem tedy nie pozwoliła Marcie wybrać się w drogę.

Następnego poranku, kiedy Wschodnik z córką sam w ogrodzie się znajdował, opowiadał o smutnych wojnach, które jego ojczyznę — Polskę poćwiertowały i jak to królestwo wreszcie stało się łupem potężnych sąsiadów. „Moją jedyną zbrodnią" mówił dalej — „było, iż ojczyznę kochałem i do ostatniej chwili takowej broniłem. Kiedyśmy się, zgnieceni liczbą nieprzyjaciół pod murami palącej się i plądrowanej Warszawy poddali i tyranii uledz musieli, ciągle jeszcze protestowało moje serce. Mając żyć w poniżeniu w ojczyźnie, a przecież właściwie nie mieć już takowej oglądałem się wszędzie za orężem i sprzymierzeńcami; chcieliśmy znowu Polskę oswobodzić i uczynić samodzielną — nie byliśmy jednak w stanie złamać okowy. Moja posiadłość leżała w tej części Polski, która do Rosyi została wcieloną. Żyłbym tam był szczęśliwie z Feodorą, gdyby mię obce jarzmo nie było uciskało. Moje zażalenie i liczni malkontenci, którzy się około mnie zgromadzili, zaniepokoili podejrzliwego monarchę. Pewnego poranku wydarto mię z objęć żony i dziecka. Ty liczyłaś wówczas dopiero cztery lata i płakałaś widząc, że i matka płacze. Mnie poprowadzono do Petersburga do wię-

zienia. Feodora poszła za mną: pozwolenie dzielenia ze mną więzienia było jedyną łaską, jakiej mogła dostąpić. Żyliśmy prawie rok w tem strasznem miejscu, pozbawieni powietrza i światła; wreszcie bez wysłuchania mię zesłano na Sybir. Wierna żona nie opuściła mię — nie byłaby była tego uczyniła nawet wtenczas, gdyby mię byli posłali w straszną okolicę Bereżowa nad jezioro Bajkal, albo do Kamczatki. Ona to uczyniła mi wygnanie znośnem; osładzała mi życie, podczas gdy ja sobie muszę wyznać, że jestem winnym w całem jej nieszczęściu."

„W jej nieszczęściu, ojcze?" odrzekła Marta — „i zawsze ją kochałeś?" — „Ty posiadasz zupełnie to samo dobre serce, co matka drogie dziecko!" rzekł Wschodnik — „i nie wątpię, że kiedyś będziesz szczęśliwą. Masz tutaj napowrót list Smołowa. Jeśli kiedyś przez twą gorliwość i odwagę odzyskamy znowu stracone dobra — niechaj ci ten list przypomina naszych dobrodziejów."

Dziewica oblała się rumieńcem, wzięła list i schowała go w gorsecie, mówiąc cicho: „Pamięć o tym, który nad tobą ubolewał, ciebie kochał i tobie służył, nigdy w mej duszy nie zagaśnie."

Kilka dni znowu nie mówiono o podróży Marty. Wieczorem pewnej niedzieli siedziała nieliczna rodzina przy jedzeniu, kiedy do drzwi zapukano. Wschodnik otworzył takowe. W tej samej chwili zawołała Feodora: „Boże mój, oto przychodzi ten, który ma z sobą zabrać moje dziecko."

Do chaty wszedł misyonarz; jego oblicze wzbudziło poszanowanie. Zdobiła go długa biała broda, spadając na piersi; postać jego wiek i trudy zgarbiły; w jego spojrzeniu przebijała się rezygnacya, ale i przeświadczenie, iż cierpiał nie napróżno.

„Mój panie!" ozwał się on — „z radością do was wstępuję — błogosławieństwo Boga przemieszkuje w tej chacie. Proszę pana o przytułek na jednę noc. Dobra córko!" mówił dalej, zwracając się do Marty — „kroczyłaś drogą cnoty, dlatego Pan będzie z tobą." Usiadłszy następnie i usłyszawszy łkanie Feodory powiedział: „Chrześciańska matko,

dlaczego płaczesz, czyliż dziecko twojej miłości nie jest błogosławione. Jeśli ty wylewasz łzy nad córką, która tylko krótki czas z tobą się rozstanie, cóż mają czynić matki, którym córki występek wydarł i na wieki zgubił?!"

„Ach, ojcze mój!" rzekła strapiona matka — „gdybym jej już nie miała ujrzeć!"

„Ujrzysz ją znowu, powiada mi to głos wewnętrzny; jej nieobecność będzie dla ciebie krótkim tylko czasem doświadczenia. Mozoły takiej podróży są wielkie; atoli Bóg ją umocni. Patrz na mnie! to stare spróchniałe ciało odbyło podróż z krańców Chin aż tutaj i nie zniszczyło przez to. Poleć córkę opiece i kierownictwu Boga — Jego to wola, aby odbyła tę podróż w mem towarzystwie."

Feodora pochyliła głowę z poddaniem się. Misyonarz ten, nazwiskiem O. Paweł przenocował następnie w chacie i zabawił tutaj cały następny dzień, w którym Marta nieco potrzebnych rzeczy do zamierzonej podróży do woru ze skóry reniej włożyła. Umówiła się ona z O. Pawłem, że dla oszczędzenia rodzicom smutnego pożegnania mieli oboje nazajutrz raniutko niespostrzeżenie chatę opuścić, na co się czcigodny sługa Boży zgodził. Wieczorem przed udaniem się na spoczynek prosiła Marta rodziców o błogosławieństwo; a nazajutrz rano, zanim się oni obudzili, szła już obok misyonarza lasem z boleścią w sercu, iż długi czas nie będzie oglądała drogich rodziców. C. d. n.

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Aby dobrze pojąć położenie Kościoła za czasów papieża Melchiadesa, trzeba naszą uwagę zwrócić na Wschód, gdzie prawie w tym samym czasie równie ważne rzeczy się działy. Po zwycięztwie Konstantyna nad Mexencyuszem państwo rzymskie prócz Konstantyna jeszcze dwóch innych miało cesarzy Liciniusza i Maximina Daca, którzy państwo wschodnie między siebie podzielili i każdej chwili byli gotowi między sobą prowadzić wojnę zażartą. Podczas kiedy Maxencyusz w r. 312 walczył przeciwko Konstantemu, Maximin gotował

się do wojny z Liciniuszem, przekroczył Bosfor, stanął przed bramami miasta Bizancyum (dzisiejszy Konstantynopol) i zmusił miasto do poddania się. Ztamtąd szedł dalej aż przed Herakleę, zdobył to miasto a idąc 18 mil dalej zatrzymał się. Tymczasem stawa przed nim Liciniusz ze swoją armią, więcej dlatego, aby go powstrzymać aniżeli się z nim bić, bo Maximin stał na czele 70,000 żołnierzy, podczas gdy Liciniusz ledwie 30,000 mógł zebrać. Ale jednak przyszło do bitwy, która miała dziwne zakończenie. Obydwa wojska stały blisko siebie, zdawało się że tego samego dnia przyjdzie do bitwy. Maximin obiecał bogom, że jeżeli zwycięży, wyniszczy do szczętu chrześcian. Wtenczas w nocy pokazuje się Liciniuszowi we śnie Anioł pański i powiada mu, aby natychmiast wstał i aby się modlił z całem wojskiem do Boga Najwyższego; jeżeli to uczyni, zwycięży. Zdawało mu się, że wstaje i że Anioł, który go napominał, przed nim stoi. Anioł go nauczył także, jakiemi słowy się modlić ma. Gdy się obudził, kazał przywołać pisarza i podyktował mu słowa, które usłyszał:

„Najwyższy Boże Ciebie prosimy!
Święty Boże Ciebie błagamy!
Wszelką sprawiedliwość Tobie polecamy!
Nasze zbawienie Tobie polecamy!
Nasze państwo Tobie polecamy!
Przez Ciebie żyjemy,
Przez Ciebie przychodzi do nas zwycięztwo i szczęście.
Najwyższy, święty Boże, wysłuchaj naszą modlitwę!
Wyciągamy nasze ramiona ku Tobie:
Wysłuchaj święty, Najwyższy Boże!“

Te słowa spisano na kawałkach papieru i rozdawano między dowodzących, aby każdy wedle tego pouczał swoich żołnierzy. W wszystkich rosła odwaga, bo przyśli do tego przekonania, że zwycięstwo z nieba im było oznajmione. Liciniusz chciał rozpocząć bitwę 1go maja 313 r., bo to była rocznica rozpoczęcia panowania Maximina, a on go właśnie w tym dniu chciał zwyciężyć, w którym Maxencyusz pod Rzymem niedawno poległ. C. d. n.

Rozmaitości.

Napoleon I. i Różaniec. Napoleon I. udał się pewnego razu do teatru, mając w swojem towarzystwie pazia należącego do jednej z nawięcej arystokratycznych familii francuzkiej, nazwiskiem Rohan Chobot, książę Leonu. Cesarza widocznie mało bawiło przedstawienie, więcej przyjemności sprawiało mu przyglądanie się publiczności. To też oko jego bujało po całej przestrzeni ogromnego gmachu teatralnego, spoczywając na twarzy tego lub owego—gdzie więcej charakterystyczne i ciekawe spotykało rysy. Po dłuższym przeglądzie publiczności, odwrócił się do swojej loży i przez dłuższy czas mierzył wzrokiem pazia swego, uważając na każde z jego poruszeń.

Młody książę siedział skulony w kąciku loży, był widocznie zatrudniony, gdyż na scenę wcale nie patrzał, a ręce, ukryte pod fałdą sukni na kolanach, wciąż się poruszały. Napoleon długo patrzał i śledził, coby paź tak pilnie rękami swemi poruszał, lecz widocznie nie mógł się domyślić, gdyż zniecierpliwiony próżnem śledzeniem, wstał, zbliżył się jak mógł najciszej do krzesła, na którem siedział paź, i nim się tenże spostrzegł, chwycił go za ręce. Jakież było zdziwienie cesarza, gdy w ręku dziecka znalazł różaniec.... Książe spodziewał się ostrej nagany od cesarza, gdyż dwór ówczesny nie był zbyt nabożnym, a różańca tam nie szanowano. Inaczej się jednakże stało. Cesarz uścisnął młodzieńcowi dłoń i rzekł:

„Pan jesteś wyższym nad poziome to przedstawienie—pan będziesz poczciwym człowiekiem—nie przestawaj pan tego czynić, coś dotychczas czynił, ja mu więcej przeszkadzać nie będę.“

I rzeczywiście nie omylił się Napoleon.—Książę Leonu, Rohan Chabot, został więcej jak poczciwym człowiekiem, gdyż Arcybiskupem Besansonu, którego dyecezya dla wielkiej pobożności i dobroczynności do dzisiejszego dnia czci w swej pamięci.

Szczęśliwy Wieśniak. Pewien książę, wyszedłszy na przechadzkę, spotkał wieśniaka orzącego ziemię i przytem wesoło wyśpiewującego. Chcąc się cośkolwiek rozerwać, wdał się z orzącym w rozmowę, z której dowiedział się, że rola, którą wieśniak uprawiał, nie do niego należała, obrabiał on ją pewnemu gospodarzowi za 18 sr. groszy dziennie. Zdziwiło to księcia, że człowiek ten, przy tak ciężkiej pracy i tak lichym zarobku, wesołym, zadowolonym i prawie szczęśliwym być może.

„Dla czego nie miałbym być wesołym i zadowolonym“, odpowiedział wieśniak—, nieskończenie dobry Bóg i najświętsza Marya Panna, do której szczególniej codziennie się modlę, daje mi zdrowie i siły do codziennej pracy—mam bogobojną i kochającą mnie żonę, która dobremi mnie obdarzyła dziatkami, co mnie czyni szczęśliwym—co się zaś tyczy zarobku, tu muszę Panu powiedzieć, że trzecia część zupełnie mi wystarcza.“

— „Cóż więc robisz z resztą zarobionych pieniędzy?“

„Jedną część więc potrzebuję na utrzymanie domu—drugą część składam na kapitał,—a trzecią największą częścią spłacam moje długi“, — odpowiedział żartobliwie uśmiechając się wieśniak.

Książę, spostrzegłszy żartobliwy uśmiech wyrobnika, domyślił się, że po za słowami wieśniaka coś innego się kryje, zapytał go przeto, jaki on składa kapitał i jakie ma długi.

„Drugą część poświęcam na wykształcenie moich dzieci, aby się czegoś nauczyły, jestto dla mnie najlepszy kapitał, bo pewne mi przyniesie procenta— trzecią część oddaję moim starym rodzicom i spłacam przez to zaciągnięty dług wdzięczności, którego nikt jednak nie jest w stanie spłacić.“

Książę uścisnął dłoń poczciwego wieśniaka i obdarował go dość znaczną sumą pieniędzy.

Św. Fokas ogrodnik. W czasie okrutnego prześladowania, jakie Dyoklecyan przeciw chrześcianom w r. 300 wywołał, został także ogrodnik imieniem Fokas oskarżony jako chrześcianin. Mniemane występki jego były tak oczywiste, że nie uważano za potrzebne przeciwko niemu zwykłej skargi wytaczać i wyroku wydawać. Wydano rozkaz oprawcom, że gdzie tylko Fokasa natrafią, mają go zabić. Słudzy cesarscy przybywszy do miasta Sinope, wstąpili przypadkiem do domu Fokasa, a nie znając go, przyjęli chętnie ofiarowaną im przez niego gościnność i nocleg. Ujęci jego rzetelnością, szczerością i otwartością, opowiedzieli mu podczas wieczerzy cel swej podróży, prosząc go, żeby im wskazal miejsce pobytu Fokasa, którego zamordować mają na rozkaz zwierzchności. Sługa boski odrzekł im bez wszelkiej trwogi, że zna owego człowieka bardzo dobrze, a następnego dnia udzieli im bliższej wiadomości. Gdy się goście udali na spoczynek, wykopał Fokas grób, przyrządził wszystko, co było potrzeba, spędził resztę czasu na modlitwie, gotując się na śmierć. Rano stanąwszy przed sługami, rzekł:

— Fokas znajduje się w waszej mocy i możecie zlecenie swoje na nim wykonać. A gdy go zapytali gdzieby był, odrzekł ze spokojem:

— Stoję przed wami, ja jestem Fokasem. — Odpowiedzią taką zdumieni, stali długi czas jak wryci i nie byli w stanie zdecydować się do zbroczenia rąk w krwi męża tak cnotliwego, który ich tak gościnnie w dom swój przyjął. Nareszcie jednak ochłonąwszy ze zdumienia, rzucili się na niego i ucięli mu głowę.

W pewnem miasteczku zabodła krowa burmisztra na pastwisku krowę wyrobnika. Wyrobnik poszedł do burmistrza, i rzekł: „Wielmożny magistracie! moja krowa zabodła waszą; cóż mam za nią zapłacić?“ „Ha“ rzekł burmistrz, „musicie mi inną krowę tak dobrą i młodą, jak moja była, kupić i zapłacisz 1 talara kary.“ — „O nie!“ odpowiedział wyrobnik; „ja się omyliłem, to wielmożnego magistratu krowa moją zabodła.“—„A to co innego,“ zawyrokował burmistrz; „twoja krowa powinna się była mojej z drogi umknąć.“

Nauczyciel: Jak długo byli Adam i Ewa w raju?

Uczeń: Tak długo aż jabłka dojrzały: